

# TYGODNIK SŁOWA POLSKIEGO

BEZPŁATNY DODATEK NIEDZIELNY DO „SŁOWA POLSKIEGO“ POŚWIĘCONY NAUCZE LITERATURZE I SZTUCE  
POD REDAKCYĄ JANA KASPROWICZA.

WINCENTY BRZozowski.

## NAPIS.

Na mojem czole, jako na kamiennej płycie,  
Duchowa, niewidzialna ręka światłem pisze  
Przeróżające słowa; **Tu samotne życie.**

I czuję, że za chwilę pogrążę się w ciszę,  
I zmysły moje spadną w głębokie letargi;  
Duszą pomiędzy czasem a wiecznością wiszę...

„Tutaj samotne życie“. — O wy, moje wargi!  
Nim się dokona napis ten, hymn pożegnania  
Śpiewajcie światu; niechaj łkają wasze skargi!

„Tutaj samotne życie“. — O wszystkie kochania!  
Życiostwa, klęski, smutek, wesele naprzemian,  
Na zawsze przeszłe!... Idę w nieznanne wygnania.

A w łonie mojem czyli zachowam dla ziemian  
Miłość albo nienawiść? światłości lub cienie?...  
Ach! strasznie srogie dzieje są duchowych przemian!

Widzę jako znikają zachodnie promienie,  
Słyszę, jak wstają nowe słońca na błękitach...  
Lecz słowa me padają w Głębię i Milczenie...

Napis duchów świetlany: **Tu samotne życie.**

OSKAR WILDE.

## MŁODY KRÓL.

Śnił. A treść tego snu następująca:

Zdawało mu się, że się znajduje w długiej a niskiej mansardzie, wśród rupieciów i zamieszania licznych robotników. Słabe światło dzienne, wpadające przez zakratowane okna, z trudnością pozwoliło mu rozróżnić wychudłe twarze tkaczy, schylonych nad pracą. Dzieci blade, o chorowitym wyglądzie, siedziały przykucnięte na olbrzymich belkach w formie krzyża. Kiedy czótenko było już przerzucone przez łańcuch, tkacze podnosili ciężką deskę a kiedy zatrzymywała się, spuszczała ją, zbierając nici. Twarze ich były wychudzone głodem a ręce drżały z osłabienia. Kobiety o wzroku niepewnym siedziały przy stole, szyjąc. Straszny odór zanieczyszczał to miejsce. Powietrze było ciężkie i niezdrowe, wilgoć ściekała z murów.

Młody król zbliżył się do jednego z tkaczy i wlepił weń swój wzrok.

Tkacz podniósł ku niemu swe oczy rozgorączkowane:

— Dlaczego mnie obserwujesz? Czyś szpieg, wysłany przez naszego Pana, aby czuwać nad nami?

— Któż to Twój Pan? — zapytał młody król.

— Mój Pan — zawołał tkacz głosem zgorzkniałym — taki sam człowiek jak i ja. Ale rzeczywiście niema pomiędzy nami innej różnicy prócz tej: on chodzi w odzieniu delikatnym, ja w łachmanach; i jeszcze jedna: jam osłabiony z głodu, bo brak mi pożywienia, on cierpi na przejedzenie się.

— Kraj ten cieszy się wolnością, a Tyś niezłym niewolnikiem.

— W wojnie — mówił dalej tkacz — silny zwycięża słabego, w państwie zgwałca bogaty biednego. My musimy pracować, aby żyć, a dają nam tak nędzną płacę, że ginimy. Dla naszych Panów dręczymy się dzień cały, a oni nagromadzają złoto w skrzyniach; nasze dzieci marnieją przed czasem na tym świecie, a rysy tych, których kochamy, stają się suche i zgryźliwe. My zbieramy grona, a inny pije z nich wino. My siejemy zboże, a stoły nasze puste. Dźwigamy kajdany, choć ich żaden wzrok nie ujrzy, jesteśmy niewolnikami, choć mówią, żeśmy wolni ludzie.

— Czy to stosuje się do wszystkich?

— Tak; to samo gnębi wszystkich, młodych, jak i starych, kobiety i mężczyzn, dzieci drobne i stareów, zgarbionych ciężarem czasu. Kupcy nas uciskają, ale zmuszeni jesteśmy słuchać ich rozporządzeń. Kapłan przechodzi mimo, szepeąc różaniec; nikt o nas się nie niepokoi. Wśród naszych załków bez słońca, przechodzi Bieda, z oczyma wygłodniałymi, a za nią z twarzą ogłupiałą kroczy Grzech. Nędza budzi nas rankiem, Hańba do snu nam kołysze. Cóż Cię jednak to obchodzi? Tyś nie nasz i wydajesz się być szczęśliwym.

Z miną przestraszoną odwrócił się, przerzucił przez krosno czótenko; młody król spostrzegł, że tkacz złotemi niemi.

Wielki przestрах go ogarnął, zapytał więc tkacza:

— Jaką suknię rozpocząłeś tu tkac?

— To suknia do koronacji młodego króla — odrzekł — ale cóż to Ciebie obchodzi?

Z piersi młodego króla wydarł się okrzyk, zbudził się niestety! w swoim pokoju; przez okno ujrzął wielką tarczę księżycową koloru miodu, zawieszoną na ciemnym stropie.

I znowu zasnął i znowu śnić począł. A treść snu drugiego była następująca:

Zdawało mu się, że leży pod pomostem olbrzymiej galery, poruszanej wiosłami przez setki niewolników. Na dywanie obok niego siedział właściciel statku. Był czarny, jak heban, a głowę zakrywał turban z szkarłatnego jedwabiu. Duże, złote koleczyki spadały z jego tłustych, kłapciastych uszu a w rękę trzymał wagę z kości słoniowej.

Niewolnicy, nadzy, zaledwie w części okryci na sposób murzyński obdartymi fartuchami, byli przykućci jeden do drugiego. Stońce jaskrawe wpadało wprost na ich twarze; Negrzy, przebiegając po schodkach pomostu, bieżowali ich harapnikami skórzanymi. Natężali swe chude ramiona i ścigali je z powrotem, próbując fale ciężkimi wiosłami. Pył drobny unosił się nad skrzydłami wiosel.

Wkrótce dotarli do małej zatoki, rozpoczęli sondowanie dna morskiego. Wtem zbliżyło się od brzegu trzech Arabów na dzikich osłach, kierując swe dzidy ku przybyłym. Właściciel galery chwycił zatrutą strzałę i celując z łuku, wpakował ją jednemu z Arabów. Arab wpadł ciężko w nadbrzeżne fale, a towarzysze jego uciekli w galopie. Wolnym krokiem postępowali za nimi kobieta, w żółtej zasłonie, jadąc na wielbłądzie, czasami tylko odwracała się, jakby za trupem.

Kiedy zarzucono kotwicę, Negrzy zeszli pod pomost, a wracając dzwigali drabinę z uplecionych sznurów i przywiązany do niej ciężkim kawałem ołowiu. Właściciel galery zarzucił ją na brzeg, od strony zaś statku zatrzymał ją na dwóch żelaznych hakach. Negrzy tymczasem, uwolniwszy jednego z najmłodszych niewolników z łańcucha, zatkali mu starannie otwory uszu i nosa lakiem, a do biodr przywiązali ciężki kamień. Z trudnością spuścił się z drabiny i znikł w morzu. W miejscu, w którym zanurzył się, powstał lekki bulkot. Kilku niewolników patrzyło na to z ciekawością po przez poręcz statku. Na przednim kadłubie usadowił się jakiś czarownik-błazen, uderzając monotonnym rytmem w bęben.

Po jakimś czasie wypłynął nurek z trudnością i drząc cały, chwycił za drabinę, w prawej ręce unosząc perłę. Negrzy uchwycili ją, równocześnie dając mu znak, aby znowu zanurzył się. Niewolnicy zasnęli ciężko nad swemi wiosłami. Jeszcze i jeszcze wracał niewolnik z głębin morskich, każdego razu unosząc z sobą piękną perłę. Właściciel galery wazył je i wsypywał do małego worka z zielonej skóry. Młody król chciał do niego przemówić, ale język zdawał się być przyklepiony do podniebienia. Negrzy bawili się między sobą, w końcu jednak rozpoczęli kłótnię o jakiś naszyjnik z lśniących pereł. Kruki, unoszące się nad statkiem, kradły co się dało.

W końcu wypłynął nurek po raz ostatni z wody, przynosząc z sobą perłę piękniejszą niż wszystkie perły Ormuzu, bo miała kształt pełnego księżyca a bardziej świeciła niż gwiazda poranna. Ale twarz nurka była przedziwnie błądzą, upadł na pomost a krew wytrysła mu z nozdrzy i uszu. Jeszcze raz drgnął cały — potem skończył. Negrzy, wzruszywszy obojętnie ramionami, wrzucili trupa w morze.

Zasnął się właściciel galery, odebrał perłę a kiedy ją ujrzał, przyłożył naprzód do swego czoła, schylił się szepczając: „Będzie do berła młodego króla“. Potem dał znak negrom, aby podnieśli kotwicę.

A kiedy młody król usłyszał te słowa, znowu wykrzyknął i zbudził się; przez okno widział długie, szare palce świtu i gwiazdy uwiędłe.

\*

I jeszcze raz zasnął i śnił; a sen ten był następujący:

Zdawało mu się, że przechadza się w półmroku w lesie pełnym dziwnych owoców i pięknych a trujących kwiatów. Zmije syczały ku niemu a papugi o wspaniałych piórach krzyczały, przelatując z gałęzi na gałąź. Wielkie żółwie spały w rozgrzanym piasku. Tłum mały i pawi siedział na drzewach.

Szedł, szedł długo przed sobą, aż dotarł na kraniec lasu. Tutaj ujrzał liczną gromadę robotników, pracujących w korycie wyschniętej rzeki. Wspinali się na skały jak mrówki, kopali głębokie studnie i tam spuszczały się. Niektórzy rozłupywali skałę wielkimi toporami, inni znowu grzebali w piasku. Oczyszczali kaktusy aż do korzeni i otrząsali je z szkarłatnych kwiatów. To była czynność bezustanna; choć przemawiali do się, żaden jednak nie pozostał beczynnym.

Z ciemnej jaskini Śmierci i Skapstwo obserwowały ich; aż Śmierć rzekła:

— Jestem znużona; daj mi trzecią część tych ludzi, bym odejść mogła.

A Skapstwo, zaprzeczywszy głową, rzekło:

— To są moi służebnicy.

Wtem zapytała Śmierć:

— Powiedz, co trzymasz w Swjej dłoni?

— Troje ziaren zboża; cóż Cię jednak to obchodzi?

— Daj mi jedno — zawołała Śmierć — chcę zasadzić w mym ogrodzie; daj jedno, nie więcej, a zaraz pójdę sobie.

— Nie dam ci nie — odpowiedziało Skapstwo, kryjąc swe dłonie w fałdach sukni.

Śmierć zachichotała, a chwyciwszy za kielich zanurzyła go w sadzawce; z kielicha wybuchła gorączka malaryczna. Przeszła wśród rzeszy pracujących i trzecią część z nich porwała. Zimna mgła postępowala za nią a zmije wodne pełzały po śliskich ścianach.

Kiedy Skapstwo spostrzegło trzecią część swych robotników martwych, uderzyło się w pierś i zaczęło płakać; uderzyło się w swą bezpłodną pierś i poczęło krzyżeć:

— Zniszczyłaś trzecią część moich służebników; idź precz! Wojna rozlega się w górach Tartary, a królowie obydwóch armii wzywają Cię. Afganowie zabili czarnego wołu, wywołując tem walkę. Otrząsnęli swe lance i pancerze a na głowę wdziali hełmy. Co Cię zmusza do pozostania tu, na mym obszarze? Mówię Ci, idź precz i nie pokazuj się więcej?

— Nie — rzekła Śmierć — dopóki mi nie dasz choć jednego ziarna, nie odejdę stąd.

Ale Skapstwo zaciśnięto swe dłonie, a zgrzytnąwszy zębami, rzekło:

— Nie dostaniesz!

Śmierć zachichotała znowu a dzwignawszy czarny kamień, rzuciła go w zielony bór; z dzikiego, nakrapianego szalania wystąpiła Wielka Gorączka, w płomiennej szacie. Przeszła wśród robotników, a Ci, których dotknęła, padli nieżywi. Trawa, tam gdzie przechodziła, wędła, tworząc długą linię.

Skapstwo, drząc całe, obsypało głowę popiołem.

— Okrutnaś, okrutnaś: Głód szerzy się w grodach Indyi a cysterny Samarkandy wyschnęły. Głód panuje w grodach Egiptu a szarańcza przysłała mu w pomoc. Nil nie wylał a kapłani przekleli Isis i Osiris. Idź do tych, którzy Cię potrzebują, a mnie zostaw moich służebników.

— Nie — rzekła Śmierć — nie odejdę, dopóki mi nie oddasz ziarna swego.

— Nie dam Ci nie — zawołało Skapstwo.

I znów Śmierć zachichotała; świsnęła na palcach, a kobieta w obłoczystym płaszczu przeszła obszar. Na ezole nosiła napis: „Jam jest zaraza“; sępy zataczały kręgi wokół Niej. Swemi skrzydłami pokryła dolinę a ani jeden człowiek nie został przy życiu.

Wtedy Skapstwo uciekło w głąb lasu, wydając przeraźliwe okrzyki; a Śmierć, siadłszy na czerwonego konia, popędziła w dal, szybciej niż wiatr.

Smoki i ohydne potwory łuskowate powyłaziły ze swych kryjówek, szakale, goniąc po piasku, wznosiły mordy w kierunku wiatru, aby odetchnąć.

(Dokończenie nastąpi)

TLUM. BRONISŁAW CZARNOLESKI.

BOLESŁAW LUTOMSKI.

## SZOPENISTKA.

Przyniosła ze sobą na świat to, co nazywamy talentem artystycznym i mogła być zostać aktorką z Bożej łaski.

Jakież są składniki i cechy jej talentu?

Posiadała ona żywy i śmiały, gwałtowny nawet temperament, niepospolitą intuicję w przenikaniu i odgadywaniu typów i postaci ludzkich, w chwytności i oddawaniu ich właściwości, naturę ciepłą i nawskróś uczuciową, tak, że uczucia przelewały się z niej ciągle, jak z przepelnionego naczynia, głos ciepły, dźwięczny, czasami nieco krzykliwy, lecz zato pełen najsubtelniejszych akcentów lirycznych, świetny śmiech sceniczny i niezaprzeczoną inteligencję artystyczną, która różni się zasadniczo od inteligencji ogólnej i analitycznej, przedewszystkiem tem, że chwytła wrażenia, tony, barwy, dźwięki, że płynie z serca i z wyobraźni, podczas kiedy inteligencja rozumowa opiera się na pojęciach i na czynnikach rozsądku.

Posiadała ona wiele i zewnętrznych warunków scenicznych: twarz dziwnie wyraźną, na której odbijały się silnie i barwnie wszelkie ekspresje, wielkie oczy, całe wrażenie, potrzebne dla postaci teatralnej. Brakowało jej tylko wzrostu, który nie dosięgał nawet średniej miary.

Bez wielkiej obawy omyłki, sędzę, że na scenie te wrodzone właściwości jej temperamentu rozwinęłyby się szybko i bujnie, że potrafiłaby tworzyć kreacje z ciepłą krwią w żyłach, że bolesne procesy serca kobiecego znalazłyby w niej wyrazićkę zarówno delikatną jak dramatyczną, i że umiałaby przenosić na deski życie kobiety, która śmieje się i cierpi, kocha i poświęca się, doznaje wielkich wstrząśnień moralnych i nadzwyczajnego przewrotu uczuć.

Nikt nie jest w stanie przewidzieć kolei, po jakich się może potoczyć w przyszłości rozwój talentu

artystki scenicznej. Najlepszy nawet znawca teatru sędzi aktorów wtędy dopiero, kiedy zobaczy ich grę, kiedy ich zobaczy czujących i działających, odtwarzających typy i postacie.

Widziałem ją przed laty ośmiu na scenie amatorskiego teatrzyku prowincjonalnego, w jakiejś komedynie lichej i płaskiej. Wśród amatorów, grających swoje role bez zycia, szaro, nudnie i lekliwie, ona wyróżniła się od razu swoim żywym i śmiałym temperamentem, giętką dykeją i celowością ruchów. Niepodobna się było pomylić, że mamy przed sobą istotny talent aktorski w tem znaczeniu wyrazu, że scena byłaby dla niego naturalnym wpływem tej wielkiej sumy wrażeń i uczuć, które szukają dla siebie ujścia, jak woda strumienia podziemnego wśród skał, kamieni i pokładów, i jeśli tego ujścia nie znajdują, to tłumione i powściągnięte wewnątrz, przegryzają to naczynie delikatne, zwane systemem nerwowym, w którym je zamknięto. Są pewni ludzie, pewne ustroje psychologiczne, których przeznaczenie, śmiało powiedzieć można, natura określiła z góry z całą ścisłością i wyrazistością. Jeżeli oni sami do świadomości tego przeznaczenia nie dojdą, albo im drudzy tego nie ułatwią, albo nareszcie okoliczności w drodze staną, to los ich zostanie zwieczniony. W każdym zaś razie nie osiągną tego, coby osiągnęli, idąc za głosem przyrodzonego popędu.

Tak też, mianowicie, stało się z kobietą, o której piszę. Gdyby już wtędy, przed laty, była się wzięła do kształcenia swego talentu dramatycznego, rozwinięłyby on się dotąd niepospolicie i nabrał właściwego sobie wyrazu.

Stało się przeciwnie. W ciągu tych lat, po wyjściu zamaż, inne pochłaniały ją namiętności i skłonności, lecz niezaprzeczone bogactwo artystyczne tej duszy nie odlewało się dla niej w formy najodpowiedniejsze, w formy kreacji scenicznych.

Od czasu do czasu porывała ją muzyka i wtędy cała żal jej serca, cała żar jej krwi, cała tęsknota za trawiającem ją i niezaspokojonem uczuciem macierzyńskim, które jest naczelną i górującą namiętnością takiej kobiety, cała melancholia jej natury pełnej marzeń smutnych i przeczuć niezdrowych, nastrojonej na nutę grobową, pozostającej w zupełnym rozbracie z realnymi warunkami bytu aż do zaniedbywania i lekceważenia wszelkich wskazówek praktycznych, wszystko to: ten żal i smutek, ta tęsknota i marzenia o śmierci, ten rozstrój psychiczny i brak konsekwencji, oddawała ona z ogniem i czarem w preludjach, mazurkach i marszu żałobnym Chopina, w sonatach Beethovena, w rozpaczliwych utworach Schumanna. Pięknie, rzewnie i delikatnie zwłaszcza, grywała Chopina. Duszę tego ezarującego marzyziela, płaczącego łzami najdelikatniejszych uczuć, odczuwało się jak najsubtelniej w jej lekkiej i ciepłej interpretacji i ztąd była ona prawdziwą, bez cienia komedii i afektacji szopenistką.

Wielki i nieśmiertelny poeta tonów, w którym grająca naszej rasy: sny i uczucia, bóle i ideały duszy polskiej znalazły najszczytniejsze swoje wezelenie, posiadał w tej kobiecie nie tylko wielbicielekę wierną i bezgraniczną, stawiającą bogu swemu ołtarze, na których sama spalała się powoli w niesłychanie napiętych i drczących zwątpieniach i wzruszeniach, gdzie łzom tajonym i ukrywanej rozpaczcy dawała wyraz i wpływ; wielki poeta posiadał w niej nie tylko wielbicielekę, lecz i duszę bratnią, siostrę czułą, przy-



wiązana i pojmująca. Chopin przez długi szereg lat był jej pociechą i jej bogiem, przed którym korzyła się najpokorniej i z którym obcowała jak najchętniej, zrażona okrutną ezezością i banalnością stosunków ludzkich. Zespoliła się tak bardzo z tym duchem nieśmiertelnym, płakała i skarżyła się przed nim tak często, tyle mu sił i zapału złożyła w ofierze, że dziś z pewną obawą zapytać trzeba, czy starczyłoby jej energii służenia nowym bogom.

Fortepian stał się narzędziem jej duszy, koniecznym jej uzupełnieniem i powstawało zapytanie, czy pozostało jej tyle energii, ażeby mogła przyswoić sobie całą technikę nowej sztuki dramatycznej, czy takie rozdwojenie uzdolnień artystycznych nie przekracza miary, sił i zapału.

Muzyka pochłaniała ją bardzo, spaliła na jej ołtarzu najpiękniejsze marzenia młodości i sny swego serca. Jednocześnie wrażliwa i nadwrażliwa jej natura wyczerpywała się życiem codziennym, którego nigdy ująć nie potrafiła w regularne karby ścisłości i porządku. Nieład uczuć i wrażeń jest jej cechą, refleksya zaś — zupełnie obcą. Żyje bezustannymi, nieobliczonymi i niepowściąganymi wybuchami uczucia, miłości i gniewu. Podstawą życia musi być porządek: ona zaś jest uosobieniem nieładu, z wyjątkiem muzyki, zarówno w małych jak w większych rzeczach. Długie życie w nieładzie prowadzi każdego z nas zarówno do materialnej jak moralnej i umysłowej ruiny. Kształcimy się, męczymy, czynimy zasoby ducha tylko przez system i porządek; w nieporządku niszczejemy, dochodzimy do rozstroju, do obłędu. Ta kobieta tak niepospolita i urocza w swym artyzmie, w zwykłym życiu rozrzuceła po wszystkim nieład swoich wrażeń i nerwów, już to przez swój temperament dziedziczny, już to przez nałogi wychowania.

I wśród artystów i wśród społeczeństwa dość mocno zakorzeniły się mniemania i opinie, że poeci i artyści nie mogą i nie potrzebują się liczyć z ogólnymi podstawami i wymaganiami logicznymi i społecznymi, że życie ich właśnie ma płynąć nie ujęte w karby zasad i obowiązku. Nie potrzeba długiego wywodu, ażeby spostrzedz, że te mniemania są zupełnym archaizmem i że je odnieść należy do dawno minionej epoki, kiedy artyzm łączono z cyganeryą, kiedy sztuka ze swoimi wynawcami i wykonawcami była pożytywaną za jakiś wyskok paradoksalny, który społeczeństwo może tolerować, lecz jest mu dziś obojętny.

Dziś mamy odmienne zapatrywania i niezawodnie słuszniejsze. Do twórczości i pracy artystycznej stosujemy, z niektórymi zaletami zmianami, to samo kryterium, co i do innej gałęzi umysłowej i obywatelskiej pracy. Wiemy i żądamy od artysty głębokiego i zupełnego uznawania wszystkich postulatów moralności publicznej, pojmowania i wykonywania obowiązków, jakie ciąży na każdym, kto się wzniosł do pojęcia obywatela swego kraju i swego narodu, poddawania swych kroków i postępów celom ogólniejszym i wyższym ponad osobiste kaprysy, namiętności, ponad tę niesforność słów, czynów i obyczajów, ponad to wszystko, co niedojrzałe i lekkomyślne głową głoszą za oryginalność, co zaś w istocie rzeczy bywa najeźsiej objawem niskiej kultury etycznej i estetycznej.

Powinniśmy cenić i wielbić oryginalność, wiedząc wszakże, że z innego, czystsze i szlachetniejszego płynie ona źródła. Originalność artysty, pisa-

rza i poety płynie z duszy wzniosłej i bezinteresownej, z umiłowania wielkich prawd i czci dla wielkiej tradycyi, z żywego i przenikającego serce humanizmu, które bije dla wszystkiego, co wielkie i sprawiedliwe, ma we wstręcie wszystko, co niskie i płaskie.

Z tego wynika, że artysta swoje natchnienia czerpie nie tylko z wyobraźni, choćby ona nawet była wielką, lecz i z sumienia czujnego i wrażliwego, i inteligencyi świadomej i krytycznej. Z tego wynika także, że to, co nazywamy talentem, powinno być tylko narzędziem szczytnych idei i obowiązków, że w naszym zwłaszcza położeniu, sztuka tego wyrazu godna powinna być świątynią poezyi narodowej. I wtedy tylko będzie oryginalną. Wbrew bowiem jednostronnym i jaskrawym hasłom, jakie się często rozlegają, że sztuka nie zna ani narodowości, ani zadań społecznych, jest ona w istocie wtedy tylko żywotną i prawdziwą, kiedy jest nawskróś narodową, kiedy jest syntezą uczuć, tajemnic i przeznaczeń swego narodu, jego dziejów i jego teraźniejszości bolesnej i posępnej. Tak pojmowali sztukę nie tylko Mickiewicz i Matejko, Słowacki i Chopin, Krasieński i Ujejski, Grottger i Sienkiewicz, lecz także Królikowski i Modrzejewska. Dlatego przedewszystkiem byli wielkimi. Tylko wybitne znamię narodowe zapewnia każdej sztuce stanowisko w wielkiem królestwie poezyi międzynarodowej, tylko własne natchnienie i własna postać, jakie przynosi z sobą, mogą zrobić jej miejsce w wielkiej rodzinie twórczej.

Szopenistka, o której piszę, posiadała niepoahomowane zamiłowanie teatru i pragnęła by całej duszy zostać aktorką. Widzieliśmy już, że stanowiło to jej naturalne przeznaczenie, walka z którym byłaby grzechem. Była ona wprawdzie wyczerpaną nerwowo, neurasteniasz ze wszystkimi udrczeniami trzymała ją w swoich objęciach, zbywało jej na równowadze i stałości usposobienia, trawił ją smutek i męczyło znużenie, którego źródła szukać należy w ustroju organicznym i w procesach psychicznych. Była tak jednostronna, jak tylko kobiety być umieją z odrazą poglądów obiektywnych, które stanowią rękojmię rozwoju, które trzymają na wodzy zapędy uczuć i przywidzenia podrażnionej wyobraźni. Ten jej chory subiektywizm, to uleganie niesłychanie zmiennym nastrojom chwil, ten brak określonego kryterium tworzyłby zawsze mogły przeszkodę do osiągnięcia trwałego i systematycznego powodzenia. Aktor nie potrzebuje wprawdzie posiadać tej samodzielności umysłu i tego poziomu wyobrażeń, co myśliciel, lecz z drugiej strony długie zostawanie na łasce luźnej wrażliwości nie pozwala położyć fundamentów, które zarówno w świecie mechanicznym jak i w świecie moralnym są konieczne.

Szopenistka nasza nie była zapewne tą artystką, która ze świadomością własnych sił sięga po klasyczne typy repertuaru teatralnego, ażeby na nich wycisnąć znamię, ażeby dorzucić nowy rys do ich fizjonomii. Do tego potrzebna jest mianowicie ta równowaga uzdolnień, ta świadomość samego siebie, to kryterium, na którym jej zbywało. Lecz w zakresie postaci współczesnych, żywych, nerwowych, dręczonych uczuciami i niepokojem, w których ból miesza się z wdziękiem i poezją, kusić się ona mogła o wielkie powodzenie, polegać na swojej intuicyi żywej i przenikliwej, jeżeliby wszakże rozumiała konieczność ekonomizowania sił i uczuć, jeżeliby nie poddała się manii, jeżeliby od czasu do czasu przejęła się prawdą, że artyście potrzebna jest dłuższa perspektywa, w któ-

rej widzi rzeczy, że się nie powinien zasklepiac w ciasnem kole swoich upodobań.

Wtedy biedne jej serce i dusza, które wiele cierpiało, wydobyć z siebie mogło akcenty ciepłe i tajemnicze, zadręgać delikatnymi uczuciami i subtelnymi porywami, których tyle posiadała w własnym doświadczeniu, że życia i wstrząśnienia bohaterek scenicznych są jej jak najlepiej znane. Wtedy także Chopin, który karmił jej duszę poezją i melancholią, byłby jej natchnieniem. Dzięki Chopinowi i długiemu z nim obcowaniu wznieść się ona potrafiłaby w grze swojej do sfery tego bolesnego idealizmu, który jest głównym rysem wielkiej sztuki polskiej.

TAD. ST. GRABOWSKI.

## JAROSŁAW VRCHLICKY I JEGO POEZJA.

W 50-ą życia rocznicę.

Ten cykl liryków refleksyjnych, stanowi przejście niejako do poezji epicznej Vrchlickiego. Należą tu wspomniane już zbiory, jak „Sfinx“, — „Dziedzictwo Tantala“ — „Brewiarz człowieka współczesnego“ — „Symfonie“ i wszelkie „złomki epepej“. Najcharakterystyczniej zaznacza to usiłowanie stworzenia epepej ludzkości zbiorok p. t. „Duch i świat“, („Duh a svět“), którego sam podział przedstawia szereg epok ludzkości. Temu cyklowi więc jako najbardziej charakterystycznemu warto bliżej się przyglądać, tem bardziej, że wszystko po nim prawie, czy to z liryki refleksyjnej, czy z epiki, czy nawet po części z dramatu da się w jego podziałach zamknąć.

„Idą przed Panem, chyląc kornie głowy  
I świadczą ludzkie wielkości i nędze,  
Lauru i ciernia pełen włos ich płowy  
Idą jak wieszczki, jako greckie jędze.

Blask dum ludzkości w ich oczach się pali,  
Na czole widue bólów ludzkich znamię,  
Głos ich ogromny, jak szum morskiej fali,  
Hymnem grzmi w gwiazdy ku niebieskiej bramie“.

Takim prologiem wprowadza poeta wieki ludzkości. Część pierwsza pod tytułem: „Odgłosy Prawieku“.

Zrazu „chaos tylko — chaos i — ciemność wkrąg szczera“, — ogromna, bezkształtna masa światów, śpiących w bezkresnej przestrzeni, przerażająca, czarna otchłań pełna oibrzymych cielsk wszechświata, chaos wszystkich żywiołów, szalony taniec światła i ciemności, ognia i wody, mgieł i barw. A nad tem wszystkim „duch boży płynie, jak gołębicą“.

Pod jego tehnieniem i pod „życionośnym prądem fal świetlistych

Dotknięty zamęt wzrusza się, podźwiga  
I w blaskach dziwnych, czarownych, ognistych  
Tysiąc płomiennych kul w przestrzeni miga,  
Przy jęku mórz, gdzie fala falę ściga.  
Tu z wodą płomień walczy, wre i świszczy —  
O patrz, tu wola bóstwa się rozstrzyga! —  
Tu tysiąc światów rodzi się i błyszczy,  
A tysiąc znowu ściera się i niszczy!“

Powstaje i ziemia z tych odmetów chaosu, powstaje „strojna w barw tęczowych wstęgi“, powstaje z szumem swych lasów, ciszą skał i szmerem srebrnych strumieni, pełna zieleni, błękitu, śpiewu i woni, życia i radości. A wkoło niej światel rząd nieprzejrzany się zapala i tysiące słońc i księżyców zawisa nad jej czołem. I wszystko płynie i krąży w nieskończonym biegu, jak zaczarowane różeczką przeznaczenia. Krążą niezliczone światy i ziemie, płyną niezgłębione morza, wieją szalone wichry, pędzi, ugania po niebie i kometa „ahaswer przestworza; — grzesznik skruszony, wyklęty od świata z rozpaczą się pławi wśród mlecznych dróg“...

A na ziemi słonecznej, świeżej perlami rosy, radosnej uśmiechem obłoków i kwiatów zapachem, budzi się nowa, świetlana istota, wstaje w różanych woniach i śpiewie słowików“ Ewa-kobieta, „pierwszy bóg“ Adama-człowieka.

W jej pada objęcia Adam, w niej znajduje swój cel i szczęście, ją ukochał i do niej woła „Tyś moim bogiem!“ — a chór wszystkich stworzeń, wyśpiewując hymn miłości i wesela, idzie śladem wskazanym przez naturę i woła na Ewę: „bądź matką!“

„Raj zorzą w różanym lśnił mroku,  
Lew po gonitwie spoczął, przy nim lwica,  
W pieśni ptak parzył się z ptakiem w obłoku,  
Tkliwie ku ziemi błysła wieczornica“.

I dalej poeta kreśli bajeczne dzieje potomków pierwszych rodziców. W poważnym biblijnym nastroju opowiada legendę o Kainie i Ablu, o pierwszej ich ofercie, o zbrodni Kaina i obudzeniu się w duszy jego — sumienia. I dalej potężnymi, szerokimi rysami z przedziwną plastyką, barwnością i prawdziwym mistrzostwem maluje nawałę straszego żywiołu — potop i Noego i jego walkę i ocalenie i tęczę — wszystko w nieco zmienionej szacie, indywidualnie pojęte, a jednak tak świetnie, tak wiernie, silnie oddane.

Poszarpana wściekłością wód ziemia z morza fal zaczęła się już wynurzać. Opary mgieł i dymów gęstych zwolna się rozstępują, przez ciężkie zasłony chmur słaby poczyna przebijać się promyk słoneczny, aż wkońcu

„coś błysło nad chmur stadem  
I wyżej, wyżej rośnie w łuk!  
W słońcu się chwieje, jak dyadem  
I już dosięga gwiazdnych dróg!“

To tęcza, siedmiobarwna zwiastunka końca niszczczenia, zapowiedź jasných, słonecznych dni, świadectwo zgody nieba z ziemią, łask Boga i wysłuchanych prósb.

Na wodach jeszcze tęcza płonie...  
Lecz on (Noe), jak władca stworzeń, wstał,  
Jak kolos z podań podniósł skronie,  
Silniej maczugę ujął w dłonie

I zwolna odszedł w stronę skał“.

„Odgłosy Prawieku“ kończy poeta „mytem“ o starym czarodzieju, który na Araracie stojąc, patrzy na pokolenia, na ludów rzeszę, na jej dzieje, myśli i czyny. To duch ludzkości rozparł się na

Araratu skale i zrenięcą — promieniem słońca przebiega wszechświat cały, czyta w ogromnej księdze jego, nie opuszczając z niej ni litery, nie pomijając najlichszego stworzenia. Zdroje życia, szczęścia i spokoju zlewa on z swych wyżyn na głowy ludzkości i „bańsiane ptaki swe szle hen — do miast, do niw, do pól!“

Druga część „Ducha i świata“ nosi tytuł „Motywy greckie“, a rozpoczyna ją „Sarkofag“, grób starożytności, wkoło którego satyrów, nimf i dryad roztańczone grono, wieńce róż i maków, śpiewy i okrzyki, miłosne szepty i płasów odgłosy, gorące uściski i echa pocałunków.

„Wewnątrz śpi martwy, zewnątrz w czarach szumi wino;  
Wewnątrz kość, popiół, próchno i pleśń z pajęczyną...  
Lecz z desek trumny w zimne jej mroki przenika  
Gwar rozmów, śmiechy, śpiewy, hetnie, lir muzyka,  
Blask słońca, moc miłości, cudne wonie kwiatów,  
Aż wreszcie splywa życie w tej harmonii światów“...

A dalej idą utwory, jak „Hezyod“, „Śpiew Satyra“, wyczekującego, rychłoli winnice dojrzają; — „Pythia“, pijana lauru wcią, wróżąca z trójnoga nad dymiącą grota; — nieszczęśliwy „Akteon“ umierający za to, że ujrzał Dyanę naga swem śmiertelnym okiem, jak przy śpiewie Muz i przy tańcach Gracyj drzemała w Olimpu salach złotych; — „Psyche i Satyr“, poezya i rzeczywistość; — dalej „Centaur“, co śnił o miłości z nimfą, a zbudzony śmiechem przyrody, z żalu, rozpaczy za sennem marzeniem

„porwał się dziko z miejsca rozwścieczony  
I rozpędziwszy się straszliwym ciosem,  
Wyrzwał w pień cedru — padł z głową strzaskaną;  
Krew mu buchnęła czarna wielką raną,  
Ziemia zajęła posępnym odgłosem,  
Zawył i skonał...“

Wraz z „Panem“ wygrywa też poeta na piszezałce leśnej, wsłuchuje się w chór lasów i szumny płacz wodospadu. On mu „najmilszy — Pan, dusza świata“, eo wrócił spokój i ciszę wzburzonemu sercu.

Kończy poeta ten drugi dział zbioru „Echem“, głosząc, że „martwa ziemia i na wiek przeklęta, bo zginął Pan, świata dusza święta“, wróżąc w tym wieku złotym już zbliżający się kres jasných dni hellenizmu, kres miłości, natchnieniu i szałom.

Następuje „ośm legend średniowiecznych“ z przeróżnych branych światów, o różnym nastroju i różnej formie. I oto pierwsza („Twarz judaszowa“) wiedzie nas w mroczne krążanki katakomb rzymskich, w zimne, straszne podziemia pierwszych chrześcijan, pełne trumien i żaloby, między tajemnicze, zakapturzone maski pierwszych „braci w Chrystusie“, między których wkrada się szatan-zdrada. Dyakon Szymon, zwabiony odgłosem wesela i rozpustnych uciech Rzymu, myśli o zdradzie swych braci, o wprowadzeniu wojsk cesarza w tajemne kurytarze, o sowitej nagrodzie, o uściskach kochanki... Lecz w tej chwili wzrok jego padł na obraz „ostatniej wieczerzy Pańskiej“. Kędy siedział Judasz, tam ujrzał bladą, straszną twarz swoją, i usłyszał bolesne słowa Chrystusa: „jeden z was mnie zdradzi“ i widział, jak poruszyły się trumny wszystkie i wstrząsnęły się kości zmarłych, a wszystkie ściany, ciemne groty i nory jęknęły głucho: „zdrajca-potępiony!“

Dyakon Szymon uszedł drżący cały — i już go więcej „nie ujrzało ludzkie oko“.

Po „Wiosennym śpiewie Ahaswera“ następuje znowu wschodnia „Legenda puszczy“, wołająca na wschód słońca: „O wielki jest Ała!“ a dalej powieść z pod nieba włoskiego, powieść o dwóch wygnańcach Florenyji, o tym, co piekła przeszedł głębie, — o Dantem i o Ahaswerze „kroczącym w wieków morze“.

Tematem dla czeskiego poety jest i Legenda o Antychryście i „jemu też ona brzmi wspianale“ i dusza jego nie drży, nie lęka się. On widzi w postaci Antychrysta potęgę ducha człowieka, dla którego niema granic, praw i przeszkód, dla którego ojczyzną — świat cały, którego lot Boga sięga progów. Bóg ukarze wprawdzie jego dumę, straci go gromem z błękitów nieba w najgłębszą piekiel toń“, lecz potężny musi być ten duch, kiedy wedrzeć się umie na wyżyny Boga i z nim stoczyć bój o rząd nad światem. Straszna to baśń, lecz i radosna,

„Bo w Antychrysta tej obłonie —  
Duchu człowieka — wita cię!“

„Posąg“ — to zachwyty ascetycznego mnicha chrześcijańskiego nad pięknem ciała, nad starożytnym posągiem klasycznej kobiety, — to walka budzącej się wiosny uczucia i natury z zimnymi lodami przepisów i praw klasztornych, walka w duszy nieszczęśliwego mnicha, który na chwilę się wyrwał z ciemnych murów klasztornej więzienia, — to zestawienia dwóch przeciwnych światów, kontrast bezwzględnego życia ascetycznego średnich wieków i nieograniczonej swobody starożytności,

„Kłosa biedaków“ — legenda hiszpańska o Cydzie przenosi nas znowu, jak „Alpuhara“ w skalistą, pełną poezyi i ascetycznego nastroju, gwałtowną, krwią Muzułmanów zlaną krainę Hiszpanii.

Zakończeniem „średniowiecznych legend“ jest „Na proggu raj“, legenda miłości. Oto szatan, skruszywszy pęta, postanawia przy pomocy człowieka i wraz z nim obalić tron Boga i wedrzeć się na jego wyżyny. Budzi człowieka z sennych marzeń, roznieca ogień pożądania w jego piersi i wlewa weń wiarę, że „myslą wzleca nad przestrzeń, czas — skrzydłem sokoła,

„Tak, że stracą z ócz gwiazdy, jak orzeł — gór ezola!“

Tymczasem widzi te szalone zapędy szatana i ludzi Ariel, duch ziemi. Drgnął, przejęty zgrozą i biegnie do Pana i wzywa: „bij, a niszez, a pal! — do przepaści gromem swym ich zwal!“ — Lecz Jehowa uspokaja go i łagodnie się uśmiecha. On już grom nie użyje, nad grom potężniejszy stokroć jest wzrok jego cichy, promienny — jego spojrzenie miłości“.

„Bóg domówił“. Znow szatan wpadł w ciężkie marzenie, Nad ziemią Ariel rozwiął znow skrzydła promienie, Człowiek pełen nadziei znowu badał stale,  
I gwiazdy znowu kłnyły, i znowu grzmiały fale.

I znowu wszystko jak przedtem szło dawnym swoim torem, i znow wszystko mówiło, gwiazdy, fale, kwiaty:

„Miłością bóstwo trwa, miłością żyją światy“.

Ostatnią wreszcie część „Ducha i świata“ stanowią tzw. „Zagadki“, szereg problemów, poru-



szających żywo mózgi ludzi dzisiejszych. Rozpoczyna je wiersz „Do geniuszów“, o którym wspomniałem już wyżej, określając pogląd Vrehlickiego na zadanie poezji i poetów. Dalej idą „Dwa głosy“ — głos wiary i przyrody, przepiękny w opisach natury „Nasz widnokrąg“, potężny, bezkresny, przerażający swym ogromem i pięknem, wobec którego słabnie potężny duch człowieka i pyta rozpaczliwie: „co dalej? gdzie koniec? jakież świata kres?“ Zemdlny pada duch człowieka przed potęgą wszechświata i Boga, a pierś mu obsiada to zachwyt, to lęk, to tęsknota i pragnienie, to rozpacz, to zwątpienie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

(JTR).

## ERNEST LEGOUVÉ.

(WSPOMNIENIE POŚMIERTNE).

Znakomity pisarz francuski, który przed kilkoma tygodniami, dożywszy lat 96 (ur. 15 lutego 1807 r.) zmarł w Paryżu, zajmował w życiu umysłowym swojej ojczyzny niezwykle wybitne stanowisko, zarówno z powodu wielostronności swej, jak ze względu na doniosłość wpływów, jakie działaniem swem wywierał.

W trzech głównie kierunkach działalność ta się rozwinęła. Pierwszy dotyczy ruchu kobiecego, który w osobie Legouvé'go znalazł jednego z najwybitniejszych i najgorliwszych szermierzy. Szereg prelekcji wygłoszonych w r. 1847 w charakterze docenta *Collège de France* o historii rozwoju kobiet, zwrócił odrazu uwagę na prelegenta. Treść ich, oraz dalsze opracowanie zawarte są w szeregu dzieł: „Kobieta we Francji w XIX. wieku“, „Historia moralna kobiety“, „Sztuka w rodzinie“, „Panowie dzieci“ itd. Kwestya kobieca stanowiła także jeden z tematów niezliczonych odczytów publicznych, które Legouvé z wielkim powodzeniem i zawsze przy niezwykle licznych udziałach słuchaczy, przez szereg dziesiątek lat miewał w Paryżu.

Drugim kierunkiem działalności Legouvé'go stanowi wystąpienie jego jako pisarza dramatycznego. Pierwszym wielkim sukcesem była do spółki z Scribe'm napisana sztuka: „Adryanna Lecouvreur“ (1849), w której sławna heroina Komedyi francuskiej, Rachel, świętny odniosła sukces. Obok tej tragedji, znane są na scenach polskich dwie komedye również wspólnie z Scribe'm napisane, a mianowicie: „Walka kobiet“ i „Ręce czarodziejskie“ (*Les doigts de fée*). Nazwisko Legouvé'go jako dramaturga wslawiły trzy najznakomitsze heroiny tragiczne współczesne, a mianowicie obok Racheli w „Adryannie“ panna Mars w tragedji: „Louise de Lignorolles“ i włoszka Adelaida Ristori w tragedji „Medea“.

Trzecim nareszcie, a niewątpliwie najwybitniejszym kierunkiem działalności Legouvé'go, stanowi dziedzina sztuki żywego słowa, której był wybitnym mistrzem i prawodawcą zarazem. Na zlecenie francuskiego ministerstwa oświaty wypracował Legouvé szereg podręczników: „*L'art de la lecture*“ (Sztuka czytania), „*Petit traité de lecture à haute voix*“, „*La lecture en action*“ dla użytku szkół elementarnych i wyższych, które po dziś dzień służą za podstawę nauki żywego słowa, powszechnie w szkołach francuskich obowiązujące.

Praktycznie uprawiał Legouvé sztukę żywego słowa w niezliczonych odczytach publicznych, w których zaznajamiał publiczność z utworami poetyckimi, klasycznymi i współczesnymi, rozbudzając zamiłowanie do poezji, zarówno jak do wypowiedziania utworów poetyckich na głos. Za jego nauką, przykładem i pobudką recytacya publiczna poezji przyjmowała się we Francji coraz silniej dla pożytku ogółu, zaznajamiając go z poetami i dla pożytku poetów, zaznajamiając ich z publicznością.

Legouvé, który przed trzema laty obchodził rzadki jubileusz pięćdziesięcioletniej przynależności do Akademii francuskiej, pozostawił pamiętnik literacki: *Soixante ans de souvenirs* (1887), zawierający bogaty skarbiec wspomnień, dotyczący najwybitniejszych osobistości świata artystycznego i literackiego w XIX. wieku. Jedno z tych wspomnień, odnoszące się do powstania sławnej „Adryanny Lecouvreur“ i pierwszego jej przedstawienia w Komedyi francuskiej z panną Rachel w roli tytułowej, rzucające znamienne światło na Legouvé'go, jako autora dramatycznego i artystę żywego słowa, niech tu będzie powtórzone.

„Adryanna Lecouvreur“ napisaną została dla panny Rachel, na jej życzenie i prośbę. Zanim jednak autorowie (Scribe i Legouvé) sztukę wykończyć zdołali, artystka zmieniła gust. Kapryśna z natury, zmienna i słaba, radziła się wszystkich, ulegała komukolwiek. Szydercza uwaga któregoś z krytyków mogła ją rozezarać i zniechęcić do rzeczy, którą się pięć minut przedtem zachwycała jeszcze. Tak się też stało z Adryanną. Doradcy straszli ją formalnie tą wycieczką dramatyczną; Hermiona i Paulina miała przemówić prozą! Córka Kornela i Rasyne miała zostać pasierbicą pp. Scribe i Legouvé! Wszak to profanacya!

W dzień czytania sztuki, panna Rachel była na posiedzenie komitetu Komedyi francuskiej, zdecydowana nie przyjąć roli. Zgromadzono się w wielkim komplecie, a powietrze areopagowe, napętniające salę, wydawało się złą wróżbą. Scribe rozwinął manuskrypt i począł czytać — Legouvé zagłębił się w swój fotel i obserwował. I oto rozgrywała się przed nim podwójna komedya, jedna napisana przez autorów, a druga odgrywająca się po cichu w sercach obecnych artystów, członków „Komedyi“. Niedokładnie obznajomieni o intencyach tajemnych sławnej swojej koleżanki, znajdowali się w położeniu bardzo drażliwym. Sztuka napisana dla p. Rachel, w której p. Rachel grać nie zechce, a przyjęta przez komitet, mogłaby się stać przedmiotem poważnych trudności i prawnych komplikacyj.

Członkowie komitetu śledzili wrażenie odczytywanej Adryanny na twarzy p. Rachel. Twarz ta pozostawała zupełnie niewzruszoną, niewzruszone pozostały więc wszystkie inne twarze. Podczas pięciu długich aktów, nie uśmiechnęła się, nie przyklasnęła, nie pochwaliła ani razu; nie pochwili, nie uśmiechnęli się też i tacei. Tak bezwzględna była nieruchomość ogólna, że Scribe, widząc jak jednemu z sędziów oczy się kleiły, przerwał czytanie i zwrócił się do niego słowami: „Nie wstydź się pan, kochany przyjacielu, proszę bardzo!“ Członek „Komedyi“ usprawiedliwił się bardzo żywo.

To był jedyny skutek całej lektury. Ale był

jeszcze zaczątek drugiego. W akcie piątym, w scenie przedostatniej, p. Rachel, porwana wbrew własnej chęci i woli sytuacją, wychyliła się trochę naprzód z fotelu, w którym przez cały czas tkwiła, jakby przylepiona, jak ktoś, kto słucha i zajęty jest tem co słyszy; spostrzegłszy jednak, że Legouvé ją obserwuje, zagłębiła się natychmiast napowrót w fotel i przybrała znowu minę marmurową.

Po skończonej lekturze, Scribe i Legouvé udali się do gabinetu dyrektora, który przybył za chwilę, ażeby z wyrazem najwyższego ubolewania oświadczyć, że p. Rachel „nie widzi się“ w roli Adryanny, a że sztuka napisana jest dla niej, komitet widzi się zmuszonym uważać lekturę jako niebyłą. „Innemi słowy, odparł Scribe, sztuka nasza jest odrzuconą. Wszystko osiągnie ten, kto umie czekać“.

Nazajutrz trzech dyrektorów zgłosiło się po sztukę. Scribe'mu uśmiechał się rewanż, podobny do zemsty, a zemsta powinna być spożyta na gorąco; chciał przystać; Legouvé sprzeciwił się jednak. „Kochany przyjacielu, rzekł mi, sztukę napisaliśmy dla Théâtre-Français, powinna być grana w Théâtre-Français. Rola napisana jest dla p. Rachel, powinna być grana przez p. Rachel“. — „Leż jak to przeprowadzić?“ — „Nie wiem! Ale konieczną jest rzeczą, żeby tak się stało. W ciągu pracy naszej, w której twój udział był tak znakomity, zaszczycałeś mnie kilkakrotnie uwagą, że rozumiem rolę Adryanny lepiej od ciebie. Istotnie, odczuwałem zawsze w heroinie tej tragicznej nową postać, która przejmowała się szlachetnymi uczuciami przedstawianych przez nią bohaterów tragicznych, widziałem ją w interpretatorce tej Kornela, której wielkość Kornela przeszła w krew niejako! Zaiste, postać ta powinna zjawić się tylko w teatrze Kornela“.

(Dokończenie nastąpi.)

## PISMA.

(ze). Przegląd Polski. Zeszyt kwietniowy rozpoczyna dłuższy artykuł prof. dra Bronisława Dembińskiego pt.: „W zaraniu stulecia“. Jest to uzupełniony i rozszerzony odczyt — z serii wykładów: „Jedno stulecie“ — o Polsce w XIX wieku. Autor nie mógł — co sam we wstępie przyznaje — wyczerpać w nim pełni polskiego życia porzobiorowego, podniósł tylko „pewne momenty, godne uwagi... tych wszystkich, którzy pragną... czyniąc zadość głęboko odczutej potrzebie, uprzytomnić sobie dolę narodu w zaraniu nowego stulecia“.

Na tle treściwego rzutu oka na dzieje nowożytne Europy i położenie Polski w drugiej połowie XVII i pierwszej XVIII w. — kiedy to słabła energia narodowa, a „Ojczyzna mdlała“ — szkicuje autor barwnym, pięknym językiem stuletnie dzieje nasze od Konfederacji Barskiej, aż do powstania styczniowego i epoki po roku 1863. Kończy na Wrześni, tym niemym proteście maluczkich, który „był głośną skargą wobec świata i zbrała cały naród w serdecznym współzuciu“.

Uwagi rzucające w toku opowiadania zawierają „kilka poglądów na przeszłość, skąd — jak powiada

autor we wstępie, który jest krótkim autoreferatem odczytu — z konieczności wyłoniły się uwagi, związane z charakterem i zadaniem terażniejszej chwili“. Konkluzje historycznych refleksyj autora krzepią serce czytelnika i napawają go wiarą w lepszą przyszłość narodu i nadzieją, która „nie pohańbia“.

Jest jednak w serdecznym akordzie artykułu nuta trochę fałszywa, zbyt uczona. W wstępie o zaciekleści stronnictw i ich braku miary w sędzi o wypadkach i ludziach, po uwagach, na które łatwo można się pisać, autor przytacza jako przykład ofiary stronnictw zamachów na część ludzka — Szujskiego. Nie miejsce w przeglądzie pism polemizować z autorem, jednak wolno wypowiedzieć skromną uwagę, że tak ci, co widzą w Szujskim „apostofa rezygnacyi i abdykacyi“ narodowej, jak i owi — do nich zalicza się i prof. D., którzy sądzą, że czas już znać i ucieść w nim „postać, należącą do całego narodu a nie do jednego stronnictwa“ — mają tylko częściową słuszność a myślą się jeszcze w mniejszym lub większym stopniu; prawdziwa prawda leży, jak zawsze, w pośredku sprzecznych opinij.

Nie mamy prawa kwestyonować szczerości autora, ani też powodu upatrywać w tej części artykułu ukłonu w stronę żyjących przyjaciół śp. Szujskiego — o co niejeden złośliwy „radykalik“ z pewnością go podejrzewa — sądźmy przecie, że wartość artykułu zyskałaby wiele, gdyby autor nie poruszał był weale oceny działalności Szujskiego. Stało się jednak...

W „Kronice literackiej“ tego zeszytu dr. T. Grabowski omawia Chmielowskiego: „Dzieje krytyki literackiej w Polsce“, która to książka „daje — zdaniem recenzenta — jasne wyobrażenie, czem jesteśmy w porównaniu z obcymi i pozwala wglądać w rozwój krytycyzmu literackiego u nas, idącego w parze z budzącą się świadomością złego w innych dziedzinach narodowego życia“. — Dr. A. K. ocenia dwie prace niemieckie (pp. Rodakiewicza i Misesa) z dziejów uwłaszczenia włościan w Galicyi.

Dr. Flach, stały sprawozdawca z literatury niemieckiej, zwraca uwagę czytelnika na ostatnią część czterotomowej książki Bulthaupta „Dramaturgie des Schauspiels“, w której ten „krytyk starej daty“ zajmuje się postaciami Ibsena, Wildenbrucha, Sudermana, Hauptmana i całą nowoczesną literaturą dramatyczną w Niemczech. Z literatury beletrystycznej omawia ten sam autor trzy nowe powieści, z których rozgłośny obecnie i bardzo popularny „Bildungsroman“ Frenssena pt. „Jörn Uhl“ na szczególną zasługuje uwagę, jako „epos niemieckiego chłopca“.

Dr. Koneczny przy sposobności sprawozdań z występów p. Kamińskiego w teatrze krakowskim, krótko i węzłowato sprawia się z „Dramatem Kaliny“ p. Kaweckiego. Odmawia autorowi tych obrzydliwych — jak powiada — „trzech aktów z prozy życia“, kwalifikacyi na dramaturga, gdyż poza reporterską zdolnością stylistyczną, darem obserwacyjnym i wyborną pamięcią, ułatwiającą doskonałą reprodukcję, nie widzi w nim zdolności twórczej ani śladu. Trudno nie zgodzić się na ten surowy sąd, zwłaszcza dziś, — po „Widziadłach“...